

Problemy narodowościowe na ziemiach polskich w latach 1939–1989

20 maja 2004 r. w redakcji „Pamięci i Sprawiedliwości” odbyła się dyskusja wokół też zawartych w esejach Bogdana Musiała *Niemiecka polityka narodowościowa w okupowanej Polsce w latach 1939–1945* i Piotra Madajczyka *Mniejszości narodowe w Polsce po II wojnie światowej*, publikowanych w tym numerze naszego pisma.

Grzegorz Motyka: Witam Państwa na dyskusji zorganizowanej przez redakcję „Pamięci i Sprawiedliwości”. Punktem wyjścia naszej rozmowy są artykuły Bogdana Musiała i Piotra Madajczyka. W trakcie ich lektury nasunęło mi się kilka problemów, które – moim zdaniem – powinny stać się przedmiotem naszej debaty.

Pierwszy z nich dotyczy porównania ideologii i praktyki nazizmu i komunizmu pod kątem kwestii narodowościowych. Zdaję sobie sprawę, że w mniejszym stopniu porównanie to można odnieść do okresu PRL i bardziej należy skupić się w tym miejscu na III Rzeszy i ZSRR. Nazistowska ideologia jest w społecznym odbiorze łatwa do osądzenia, bo nierówność rasowa jest jej immanentną cechą. Tymczasem ta druga, zakładająca internacjonalizm i równość wszystkich ludzi, wydaje się pełna humanizmu. W praktyce jednak polityka narodowościowa komunistów była równie brutalna jak nazistowska. Wystarczy tu wspomnieć deportacje całych narodów przeprowadzane w czasie II wojny światowej, jak chociażby ponad miliona Niemców nadwożańskich, Czechenów, Ingusów czy Tatarów krymskich. Sześćdziesiątą rocznicę deportacji tych ostatnich dokładnie dziś obchodzimy [doszło do nich 18–20 maja 1944 r.].

Drugie pytanie: w jakim stopniu polityka władz Polski Ludowej wobec mniejszości narodowych była autonomiczna, a w jakim zależna od Związku Radzieckiego? Czy wypływała ona z ideologii komunistycznej, czy też była spowodowana innymi czynnikami, na przykład popularnością poglądów przedwojennej Narodowej Demokracji i doświadczeniami II wojny światowej?

Trzecia sprawa: zależność pomiędzy polityką narodowościową prowadzoną przez władze PRL a polskim społeczeństwem. Czy aktywność władz w tym zakresie była całkowicie niezależna od poglądów i nastrojów społecznych? A może wręcz przeciwnie, chciano poprzez odpowiednią politykę przypodobać się społeczeństwu i legitymizować tą drogą swoją władzę? Pojawiają się opinie, że przynajmniej niektóre działania skierowane przeciwko Ukraińcom i Żydom miały na celu to ostatnie.

Czwarty problem dotyczy oceny historiografii powstałej po 1989 r., a dotyczącej relacji między Polakami a mniejszościami narodowymi. W momencie upadku PRL w powszechnej opinii dominowały stereotypy. Podstawowy polski stereotyp można zawrzeć w słowach: „mniejszości narodowe nie zdały egzaminu

– Ukraińcy kolaborowali z Niemcami; Białorusini i Żydzi współpracowali z komunistami – stąd nie można im ufać”. Ze strony mniejszości z kolei pojawiał się zarzut prowadzenia przez Polaków (niezależnie od tego, kto był u władzy) polityki przymusowej polonizacji. Mniejszości miały także poczucie otaczającej je niechęci i nieufności. Interesujące jest pytanie, jak dalece historiografia po 1989 r. przełamywała, a jak dalece konserwowała owe uprzedzenia i stereotypy. Do pana Bogdana Musiała kieruję w tym miejscu dodatkowe pytanie o spojrzenie historiografii niemieckiej na stosunki pomiędzy Polakami a mniejszościami narodowymi.

Bożena Szaynok: Należy podkreślić, że władze PRL „zakonserwowały” w społeczeństwie polskim wszystkie zjawiska, jakie pojawiły się w stosunkach pomiędzy Polakami a mniejszościami narodowymi w czasie II wojny światowej. Uważam też, że można porównywać stosunek nazizmu i komunizmu do problemów mniejszości narodowych. W obu przypadkach traktowane były one przedmiotowo. Problemy rozwiązywano, uwzględniając nie potrzeby danej grupy narodowościowej, a jedynie potrzeby totalitarnego państwa.

Piotr Madajczyk: Chciałbym poruszyć jeszcze zagadnienie kontynuacji, zerwania lub modyfikacji polityki narodowościowej. W XX w. mniejszości narodowościowe traktowane były przedmiotowo – to oczywiste. Lecz takie stawianie sprawy uniemożliwia wychwycenie rzeczywistych różnic pomiędzy III Rzeszą a okresem po 1945 r. Chociażby różnica w stopniu brutalności wprowadzanych rozwiązań. Po 1945 r. rządzący w Polsce szybko doszli do wniosku, że przesiedleń nie należy kontynuować, gdyż bardziej destabilizują one sytuację, niż pozwalają osiągnąć spodziewane rezultaty.

Nasunęły mi się też uwagi metodologiczne: mam wątpliwości, czy polityka narodowościowa komunizmu w ogóle istnieje. Mówiąc o polityce narodowościowej, mamy na myśli koncepcję, którą wprowadza się w życie. W przypadku Związku Radzieckiego można raczej mówić o pragmatycznej polityce niż o ideologii. Weźmy pod uwagę na przykład stosunek do przesiedleń. Do połowy wojny mówiono, że przesiedleń ludności niemieckiej nie będzie. W latach 1942–1943 doszło do radykalnej zmiany koncepcji przez władze sowieckie. Po wojnie pragmatyczna polityka polegała na stabilizowaniu swojej strefy wpływów, stosunków politycznych i władzy. Używano przy tym narzędzi, które z punktu widzenia podejmujących decyzje były najskuteczniejsze. Te narzędzia to powojenne przesiedlenia i tworzenie państw jednolitych narodowo. Choć później zrezygnowano z wysiedleń, to budowę państw narodowych konsekwentnie realizowano do końca.

Eugeniusz Mironowicz: Pragnę zwrócić uwagę na podobieństwo metod, środków używanych przy rozwiązywaniu problemów narodowościowych, a jednocześnie podkreślić różnice ideologiczne pomiędzy nazizmem a komunizmem. W przypadku ideologii nazistowskiej istniał wyraźny podział na lepsze i gorsze narody. Natomiast w przypadku socjalizmu kwestia narodowa była na drugim planie. Wszyscy klasycy socjalizmu z drugiej połowy XIX w., nie wspominając już o XX w., z Leninem na czele, traktowali kwestię narodową jako drugorzędną. Nie poruszało się tego problemu, bo mógł on odciągać uwagę od rzeczy bar-

dziej istotnej – walki klasowej. Kiedy bolszewicy przejęli władzę w Rosji, pod wpływem faktu, że sprawa narodowa była w Europie „modna”, zaczęli instrumentalnie wykorzystywać ją do własnych celów politycznych. Na gruzach imperium Romanowów tworzyli państwa narodowe także wśród narodów, które specjalnie do tego nie inspirowały. Dlatego na przykład w latach dwudziestych wspierali wysiłki nielicznej inteligencji białoruskiej lub też trochę silniejszych środowisk ukraińskich. Dotyczyło to też mniejszych narodów czy grup etnicznych zamieszkujących Rosję, które otrzymywały atrapy różnych form autonomii. Kiedy u schyłku lat trzydziestych komuniści doszli do wniosku, że kwestia narodowa przeszkadza w centralizacji władzy, problem rozwiązali radykalnymi metodami, likwidując po prostu twórców życia narodowego w tych republikach.

Przenosząc to na grunt peerelowski, trzeba zwrócić uwagę na częste zmiany koncepcji polityki narodowościowej: inna była sytuacja mniejszości narodowych w pierwszych latach powojennych, inna po 1949 r., a jeszcze inna, na przykład, w 1955 lub 1968 r.

Piotr Madajczyk: Koncepcja się nie zmieniała, tylko była dopasowywana do sytuacji.

Eugeniusz Mironowicz: Zgoda, po prostu władza wykorzystywała sprawy mniejszości narodowych w zależności od bieżących potrzeb, uwzględniając nie tylko kontekst międzynarodowy, lecz także nastroje większości polskiej.

Bogdan Musiał: W obu systemach ideologia odgrywała rolę zasadniczą, to ona nadawała niszczyielską dynamikę obu ruchom. Oczywiście, mimo pewnych wspólnych cech istniały też między nimi istotne różnice. Podobnie w dziedzinie praktyki dostrzec można wiele podobieństw, ale też niemało znaczących różnic. By lepiej uchwycić zarówno cechy wspólne, jak i odmienności tych systemów, najlepiej punktem wyjścia uczynić lata 1939–1941, kiedy Polska znalazła się pod okupacją ich obu.

Wspólnym celem było wtedy złamanie oporu społecznego przez zniszczenie jego źródła, uderzenie w szeroko rozumianą elitę, inteligencję polską. Dokonywano tego za pomocą terroru, poprzez rozstrzeliwania i masowe deportacje.

Ale Niemcy w ramach tych działań kierowali się także ideologią wnoszącą sztywne podziały rasowe – dlatego uwzględniali też Żydów jako grupę zasługującą na „szczególne” traktowanie, na wyniszczenie niezależnie od tego, że stanowili oni część polskiego społeczeństwa. Gorset ideologiczny był tu czynnikiem krępującym, a działania siłą rzeczy bardziej zbiurokratyzowane; dochodziło na przykład do kłótni o to, ilu Polaków i Żydów ma być w 1940 r. deportowanych, a nawet kto ma być rozstrzelany. Postępowanie takie było więc – z punktu widzenia zbrodniczej „efektywności” – bardziej dyletanckie.

Sowieci natomiast byli w praktyce bardziej elastyczni. Przez lata potrafili doskonalić swoje „dialektyczne” podejście, dzięki czemu zyskiwali przewagę zaskoczenia w momentach porzucania sztywnych wymogów ideologii – w imię doraźnej taktyki. Na przykład w początkowym okresie prowadzili politykę zwalczania różnic etnicznych (co brało się z okupowania Europy Wschodniej w imię internacjonalizmu), więc wszelkie wystąpienia wymierzone w inne narodowości uznawali za „faszystowskie” i surowo represjonowali (chyba że chodziło o Polaków

– ci mogli być, w drodze wyjątku, bezkarnie atakowani). Ale kiedy było im to potrzebne, natychmiast potrafili instrumentalnie odwołać się do poszczególnych nacjonalizmów, rozbudzić je tak, by wygrywając jednych przeciwko drugim, doprowadzić do tragicznej w skutkach atomizacji społeczeństw, co czyniło je bezbronnymi i ułatwiało komunistom sprawowanie kontroli – zgodnie z prastarą zasadą „dziel i rządź”. Wykorzystywali na przykład przeciwko Polakom kwestie ukraińskie, białoruskie i żydowskie. A w dodatku wszystkie te działania potrafili osłonić propagandą tak sugestywną, że wręcz obezwładniającą.

Tak bardzo instrumentalnego podejścia nie widzimy po stronie niemieckiej; co prawda pod koniec wojny wykorzystywano oddziały zbrojne złożone z przedstawicieli okupowanych wcześniej narodów, ale doszło do tego dopiero po przełamaniu ideologicznych uprzedzeń, i nie miało to już istotnego znaczenia militarnego. Względy ideologiczne długo nie pozwalały Niemcom na rozgrywanie poszczególnych narodów; z niektórymi, na przykład z Ukraińcami, prowadzono oficjalne rozmowy, ale już Żydzi nie mogli stać się ich sprzymierzeńcami niejako z definicji. Bywali więc wykorzystywani jedynie nieoficjalnie, na najniższym, agenturalnym poziomie.

W Związku Radzieckim natomiast, mimo że nominalnie budowany był ustrój o ideałach internacjonalistycznych, w 1933 r. ok. 30 proc. kadry kierowniczej NKWD stanowiły osoby pochodzenia żydowskiego; dopiero w rezultacie czystek stalinowskich nastąpiła „rusyfikacja” tego aparatu. Podobny proces nastąpił też w Polsce, kiedy i tu przystąpiono do budowy „przodującego” ustroju; początkowo w aparacie bezpieczeństwa ludzie pochodzenia żydowskiego odgrywali bardzo ważną rolę, ale po 1953 i tym bardziej po 1956 r. nastąpiła jego „polonizacja”. W rezultacie opór przeciwko sowietyzacji nierzadko ześlizgiwał się na płaszczyznę sporów narodowościowych, co było korzystne dla Sowietów, ponieważ nie trafiał on wtedy w istotę ich systemu. Równocześnie następowała izolacja tak uwikłanych mniejszości z dotychczasowej, tradycyjnej wspólnoty.

Porównując, można stwierdzić, że Sowietci mieli po prostu za sobą większe doświadczenia w dziedzinie zdobywania władzy przez wyniszczanie społeczeństw i manipulowanie mniejszościami, co sprawiło, że działali z większym rozmachem, ale też w sposób bardziej wyrafinowany w porównaniu z Niemcami, którzy – jeśli można się tak wyrazić – stawiali dopiero swoje pierwsze kroki w tej dziedzinie.

Eugeniusz Mironowicz: Nastąpiła też proletaryzacja tego aparatu.

Bogdan Musiał: To przebiegało równocześnie.

Bożena Szaynok: Proponuję uporządkowanie naszej dyskusji. Pierwszym poziomem jest próba porównania nazizmu i komunizmu, przyjrzenie się ich polityce wobec mniejszości, ale tylko na przykładzie III Rzeszy i Związku Radzieckiego. Zupełnie inną sprawą było to, co działo się w PRL. Inna była skala brutalności, odmienny stosunek do Żydów, ale sposób myślenia o mniejszościach narodowych – bardzo podobny. Traktowano je instrumentalnie, nie licząc się z kosztami społecznymi. Sowietci stworzyli dla Żydów daleko na wschodzie Okręg Autonomiczny, dokąd żaden Żyd nie chciał wyjeżdżać. Dla Niemców stworzyli Republikę Nadwołżańską, a potem ją likwidowali, bo taki był pragma-

tyzm. Tak w Związku Radzieckim, jak w Niemczech sprawy mniejszości narodowych podporządkowano ideologiom. Człowiek się po prostu nie liczył.

Piotr Madajczyk: Ale my nie dyskutujemy teraz o sprawie narodowościowej, ale o funkcjonowaniu systemu. Dlatego mówiłem o niemożności porównania sytuacji po 1945 r. z okresem wcześniejszym.

Bożena Szaynok: Problem narodowościowy jest fragmentem działalności państwa totalitarnego, więc dopuszczalne jest porównywanie nazizmu i komunizmu. Rzeczywiście inaczej jest, gdy rozmawiamy o polityce komunistów polskich po 1945 r. Pojawiały się wtedy inne czynniki, chociażby polityka polonizacji.

Eugeniusz Mironowicz: Pamiętajmy jednak, że w przypadku komunizmu największe ofiary ponieśli sami Rosjanie, zaś w przypadku nazizmu nie Niemcy, ale inne narodowości. To jest zasadnicza różnica.

Bogdan Musiał: Oczywiście. O tym nie możemy zapomnieć.

Eugeniusz Mironowicz: Chciałbym zwrócić uwagę na praktyczny wymiar polityki komunistów. W 1940 r. Stalin doszedł do wniosku, że trzeba stworzyć w przyszłości Radziecką Republikę Polską. Zakładał bowiem, że przyszła wojna z Niemcami będzie zwycięska i że na obszarach na zachód od Bugu taka republika powstanie. Wówczas gwałtownie zmieniła się polityka narodowościowa na Kresach Wschodnich. Zaczęto likwidować szkoły białoruskie i ukraińskie, tworzone polskie, wydawano polskie podręczniki, przygotowywano kadre dla tej republiki. Polityka w stosunku do Polaków od jesieni 1939 r. do połowy 1940 r. była zupełnie inna niż ta realizowana w ostatnich miesiącach panowania sowieckiego przed wojną z Niemcami.

Grzegorz Motyka: Jak Państwo widzą problem autonomiczności działań polskich komunistów? Czy samodzielnie podejmowali oni decyzje, czy też działali na wyraźne polecenie Kremla? Warto przywołać tu przykład sporów wokół wysiedleń Ukraińców w czasie operacji „Wisła”. Jedni twierdzą, że rozkaz przyszedł z Moskwy, a polscy komuniści tylko go wykonywali. Inni uznają, iż komuniści sami podjęli taką decyzję. Zdaniem niektórych każdy polski rząd, także demokratyczny, przeprowadziłby wówczas podobne wysiedlenia. Obecnie wśród historyków w kwestii odpowiedzialności za akcję „Wisła” obowiązuje – jeśli można tak powiedzieć – „zawieszenie broni”. Uznali oni, że operacja odbyła się co najmniej za akceptacją Moskwy, „a jak było naprawdę, zobaczymy, gdy zostaną udostępnione nowe dokumenty z moskiewskich archiwów”. Problem autonomiczności dotyczy także innych kwestii, chociażby stosunku do mniejszości żydowskiej. W przypadku wydarzeń z 1968 r. często mówi się o czysto polskiej kampanii antysyjonistycznej i antysemickiej, ale podobny proces miał wówczas miejsce również w Związku Radzieckim.

Bożena Szaynok: Moim zdaniem należy wyodrębnić kilka okresów. Od 1945 r. do 1949 r. polscy komuniści nie decydowali samodzielnie w kwestiach narodowościowych. Ciężar decyzji rozkładał się także na inne ważne podmioty. Pierwszy to oczywiście Związek Radziecki, który zadecydował o przesiedleniu ludności ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej; drugi podmiot to pozostałe wielkie

mocarstwa, które rozstrzygnęły o przesiedleniu Niemców. Nawet gdybyśmy przyjęli hipotezę, że polscy komuniści już w 1945 r. mieli jasną wizję polityki wobec mniejszości, to mocarstwa i tak musiałyby na nią znacząco wpływać.

Ważny jest też sposób myślenia polskich komunistów o mniejszościach narodowych. Gomułka powiedział wyraźnie, że w szkole partyjnej uczono ich, iż wszystkie sprawy, także narodowościowe, muszą być podporządkowane interesom rewolucji proletariackiej. W 1945 r. komuniści dali mniejszościom pewne prawa, na przykład w sferze edukacji, ale trudno sobie wyobrazić, by pozwolili na istnienie na przykład żydowskich partii, które ostro występowały przeciwko Związkowi Radzieckiemu, jak partia syjonistów lub rewizjonistów.

Według mnie komuniści wyraźnie różnicowali swój stosunek do poszczególnych narodów. Ukraińcy, a zwłaszcza Niemcy, byli traktowani jako zagrożenie. Ukraińcy, Litwini i Białorusini byli przedmiotem tajnych umów o przesiedleniach, do końca nie było jasne, jaka będzie ich przyszłość. Jedyną grupą, wobec której komuniści polscy mogli realizować własny program, była mniejszość żydowska. A był to oczywiście program w znacznej części ich instrumentalnego wykorzystania w celu zdobycia poparcia dla swoich rządów. Działo się tak do 1947 r. Inaczej rzeczy się miały w latach 1949–1956, także 1956 r. przyniósł dalsze zmiany.

Reasumując, w pierwszym okresie trudno mówić o niezależnej polityce narodowościowej komunistów w Polsce, gdyż istniało dużo wpływających na nią podmiotów. Różna też była sytuacja wyjściowa poszczególnych mniejszości narodowych.

Bogdan Musiał: Ważną sprawą jest, co rozumiemy przez pojęcie polskiego komunisty. Nie sądzę na przykład, że był nim Jakub Berman.

Bożena Szaynok: Był komunistą.

Bogdan Musiał: Właśnie. Oni czuli się komunistami bez przynależności narodowej. Powinniśmy mówić raczej o komunistach w Polsce, a nie o polskich komunistach. W latach dwudziestych i trzydziestych komuniści w Polsce stali na stanowisku, że Polska powinna oddać niektóre tereny Niemcom, na przykład Górny Śląsk czy Gdańsk. Skąd to się brało? Ponieważ wtedy w Moskwie Stalin myślał o rewolucji światowej. Wtedy dla niego ważniejszymi sojusznikami byli komuniści w Niemczech, którzy z kolei – taktycznie przybierając narodowe barwy – podobnie jak pozostali Niemcy uważali, że Gdańsk, tzw. korytarz lub Górny Śląsk zostały im odebrane bezprawnie. I komuniści w Polsce musieli się temu podporządkować. Ale w 1943 r. koncepcja Stalina znowu się zmieniła i komuniści zarówno w Niemczech, jak i w Polsce posłusznie się temu podporządkowali.

Przyjrzyjmy się PPR. Partia ta została założona przez NKWD i Komitern w 1941 r., w praktyce była wydzieloną komórką enkawudowską i komiternowską. Jej cel stanowiła realizacja polityki sowieckiej, a nie polskiej, na terenach polskich; jednakże dla lepszej realizacji tych celów starano się dokonać takiego jej przedstawienia, by była odbierana jako partia założona przez Polaków i wyrastająca z polskich tradycji politycznych. Sięgnięto więc po techniki maskujące jej prawdziwy charakter i dzięki komunistom polskojęzycznym starano się imitować jej rzekomo polskie korzenie. I takich metod działania, stanowiących abe-

cadło leninowskiej sztuki zdobywania władzy, na Zachodzie kompletnie się nie rozumie. Na przykład podczas toczonej obecnie publicznej dyskusji o Centrum Wypędzonych padło określenie, że Bierut był polskim nacjonalistą. Przepraszam, przecież Bierut od lat dwudziestych był agentem sowieckim, nie był natomiast żadnym polskim nacjonalistą. Podobnie jak Jakub Berman i wielu innych.

Naprawdę trudno mówić o autonomii komunistów w Polsce. Ich działania były całkowicie podporządkowane Moskwie. Oczywiście nie wykluczało to oddolnych inicjatyw. Podam przykład starosty-członka PPR z Nowego Targu, który, dowiedziawszy się, że w ramach akcji „Wisła” wysiedleni zostaną Ukraińcy, stwierdził, iż chętnie pozbędzie się mieszkających na jego terenie 5 tys. przedstawicieli tej narodowości. W efekcie Ukraińcy ci zostali deportowani. Podsumowując, był pewien ogólny, ramowy program, do którego tzw. doły mogły czasem wnieść swój własny ograniczony wkład.

Eugeniusz Mironowicz: Chciałbym jednak zauważyć, że komuniści w latach 1944–1945 to nie była zwarta formacja. Część była na miejscu, część przyszła z Sowietami. Ten podział dał się wyraźnie odczuć już w 1946 r. Poza tym komuniści nie mieli żadnego poparcia wśród społeczeństwa. By je zdobyć, musieli uwzględnić sympatie, fobie większości. Elity komunistyczne umiejętnie wykorzystywały obecność mniejszości narodowych. Jednocześnie w swej polityce wobec Litwinów, Białorusinów, Ukraińców i Niemców w dużym stopniu uwzględniały oczekiwania społeczeństwa polskiego. Polityka wobec tych mniejszości, którą realizowano w pierwszych latach po wojnie, znakomicie korelowała z nastrojami Polaków.

Inaczej traktowano społeczność słowacką i żydowską. W przypadku Żydów do 1949 r. realizowana była polityka nietypowa, jak na komunistów – wprost zadziwiająca. Liczne partie polityczne, organizacje społeczne, kulturalne, gospodarcze – to mocno kontrastowało z ograniczeniami życia publicznego samych Polaków. Nie uważam jednak, że był to wynik wpływów obecności przedstawicieli ludności żydowskiej w aparacie władzy. Czyniono tak z myślą, że Żydzi wyemigrują i utworzą własne państwo w Palestynie. Zakładano także, że to państwo stanie się bastionem wpływów radzieckich na Bliskim Wschodzie. Kiedy w 1949 r. Izrael wybrał prozachodnią orientację, sytuacja Żydów uległa gwałtownemu pogorszeniu. Szybko zlikwidowano w Polsce żydowski pluralizm polityczny oraz większość organizacji gospodarczych i kulturalnych.

W przypadku społeczności słowackiej to rządzący, od szczebla centralnego do wojewódzkiego w Krakowie, starali się wyciszać polsko-słowackie antagonizmy. Na poziomie powiatowym, gminnym władze już w znacznie mniejszym stopniu starały się powstrzymywać konflikty, raczej wspierały lokalne społeczności polskie w ograniczaniu udziału Słowaków w życiu publicznym.

Do 1949 r., moim zdaniem, polscy komuniści cieszyli się ogromną autonomią w polityce narodowościowej. Uwzględniali w tej dziedzinie przede wszystkim nastroje społeczeństwa polskiego, by zdobyć jego przynajmniej minimalne poparcie. Niewiele mogli Polakom zaofiarować, więc eksponowali hasła narodowe, niekiedy przejęte wprost z repertuaru endeckiego. Od 1949 r. w stosunek elit komunistycznych do mniejszości narodowych zaczął być wyraźnym odzwierciedleniem poglądów ośrodka moskiewskiego. Gdy pojawiła się NRD, czyli dobrzy Niemcy, którzy budowali socjalizm, zdecydowanie zmieniła się sytuacja Niemców

w Polsce. Po wielu latach życia w charakterze ludzi wyjętych spod opieki prawa otrzymali możliwość pracy w normalnym wymiarze, prawo do wynagrodzenia, do urlopów, opieki lekarskiej, a nawet zakładania własnych szkół. Sytuacja Ukraińców, Białorusinów i Litwinów jako zbiorowości narodowych zmieniła się także na lepsze. Ukraińcom złagodzone rygory dotyczące przemieszczania się po przesiedleniach w ramach akcji „Wisła”, a wszystkim tym mniejszościom umożliwiono zakładanie szkół z własnym językiem nauczania. Władzom ZSRR z różnych względów nie zależało na skutecznym zrealizowaniu przez polskich towarzyszy idei państwa jednonarodowego.

Piotr Madajczyk: Model komunistów realizujących jedynie interesy rewolucji zupełnie nie pasuje do badanego przeze mnie obszaru Górnego Śląska. Podam przykład Aleksandra Zawadzkiego, który – biorąc pod uwagę jego związki z wywiadem sowieckim i partyzantką komunistyczną – ucieleśnia wszystkie złe strony tego modelu. Jednak gdy przypomnieć jego wypowiedzi lub poczytać notatki innych osób na temat jego stosunku do Czechów i Zaolzia, to wyłania się wręcz postać „typowego” polskiego nacjonalisty, złorzeczącego Czechom za to, że „zabrali nam Zaolzie” i planującego, jak można je odzyskać. To pokazuje stopień zróżnicowania i oznacza, że wśród komunistów w Polsce była grupa, w której naki rewolucyjno-leninowskie ścierały się z emocjami narodowymi, nacjonalistycznymi i emocjami okresu wojny. Jest to mieszanka ogromnie trudna do rozdzielenia lub uporządkowania. Zawadzki – który odgrywał czołową rolę w latach późniejszych w skali całej Polski – oczywiście realizował ustaloną odgórnie politykę, ale robił to z wewnętrznego przekonania, posiadając duży zakres swobody w podejmowaniu decyzji dotyczących konkretnych, lokalnych spraw.

W latach 1948–1949, oprócz wspomnianej już zmiany sytuacji międzynarodowej, czyli uwarunkowań zewnętrznych, nastąpiła bardzo radykalna zmiana sytuacji wewnętrznej. Skończył się wtedy niestabilny okres powojenny. Trudno było nadal stosować przede wszystkim metody siłowe, jak na przykład pracę przymusową Niemców. Ponadto istnienie niestabilnych grup społecznych nie leżało w interesie państwa, które działało już w „normalny” sposób. Ukraińcom na przykład zaczęto udzielać pożyczek na zagospodarowanie w nowym miejscu zamieszkania.

Do lat 1948–1949 główny cel polityki narodowościowej polskich komunistów został osiągnięty. Mniejszości, w liczącej się skali, już nie było. Można było, z punktu widzenia tychże komunistów, dokonać korekty tej polityki, przy założeniu, że rozpoczęte procesy asymilacji ulegną z czasem przyspieszeniu.

Eugeniusz Mironowicz: Do 1949 r. głównym celem było stępienie polskiego ruchu narodowego, rolę jedyne go obrońcy interesów narodowych komuniści wyznaczyli sobie. To, co czynili w kwestii polityki narodowościowej, nie było sprzeczne z założeniami przedwojennego obozu narodowego. Prawdopodobnie, w ocenie władz ZSRR, poszli w tym zakresie zbyt daleko. Stąd dla zachowania równowagi po 1949 r. następowało przywracanie do życia publicznego innych grup narodowych.

Piotr Madajczyk: Wydaje się, że członków mniejszości narodowych włączano do działalności politycznej jako działaczy komunistycznych, a nie jako osoby o określonej narodowości. Mieli być komunistami i tyle.

Bożena Szaynok: Chcę skupić się na okresie początkowym, który nazwałabym czasem tworzenia polityki narodowościowej, porządkowania tego, co było konsekwencją wojny. W tym czasie wobec społeczeństwa w Polsce nie funkcjonował jeszcze prosty schemat, że wszystko ma być podporządkowane interesom „rewolucji proletariackiej”. Komuniści starali się przekonać społeczeństwo polskie do powstałej władzy, kokietowali je. W tej sytuacji problemy narodowościowe były niezwykle ważne, gdyż można było je rozgrywać dla własnych celów. Przy referendum pojawiło się na przykład hasło: „Głosuj trzy razy tak, bo to Polska bez mniejszości narodowych”. Marcin Zaremba pisze, że później go ostatecznie nie wykorzystano propagandowo. Jednak po 1949 r., gdy komuniści zdobyli pełnię władzy, nie pojawił się nowy sposób myślenia, aby mniejszościom dać pełną swobodę, choćby w zakresie szkolnictwa. Sprawy narodowościowe zostały podporządkowane ideologii.

Sprawa druga. Funkcjonuje mit mówiący o uprzywilejowaniu po II wojnie światowej ludności żydowskiej przez komunistów. Według mnie nie było w polityce władz świadomego założenia, że ta mniejszość ma dostać większe prawa. Wydaje mi się, że decydujący wpływ miała sytuacja, w jakiej znaleźli się Żydzi po zagładzie, oraz aktywna działalność tej ludności.

Piotr Madajczyk: W początkowym okresie podjęto jednak decyzje, dające mniejszości żydowskiej konkretne uprawnienia: Żydzi mogli zakładać partie, własne organizacje społeczne – takich praw nie miała wówczas żadna inna grupa narodowościowa.

Bożena Szaynok: Ale jaka była sytuacja? W 1944 i 1945 r. pojawiający się Żydzi znajdowali się w takiej sytuacji, że należało udzielić im opieki. Komuniści uznali, że trzeba to zrobić. Przy instytucjach nowej władzy stworzony został Referat do spraw Pomocy Ludności Żydowskiej Szlomo Herszenhorna, a następnie inne organizacje świadczące pomoc. Ponieważ nie były one w stanie wypełnić swoich zadań, powstał Centralny Komitet Żydów Polskich. Stał się on także reprezentacją Żydów polskich wobec zagranicy. Polska w tym zakresie była wówczas „pilnie obserwowana” przez inne państwa. Inne mniejszości nie pozostawiały w centrum zainteresowania zagranicy. Komuniści zdawali sobie sprawę, że wykorzystując ludność żydowską, można było osiągnąć poparcie dla nowego komunistycznego rządu. Delegacje żydowskie, które wyjeżdżały latem 1945 r. na przykład na kongres syjonistów do Londynu czy do Ameryki, dostawały ścisłe polecenia z biura do spraw żydowskich w MSZ, że mają przekonywać opinię publiczną brytyjską, amerykańską, iż rząd w Polsce popiera Żydów. Dlatego istniało przyzwolenie na wewnętrznie sprzeczne, wykluczające się elementy w programie wobec Żydów. Z jednej strony zgoda na odbudowę życia żydowskiego w kraju, z drugiej na emigrację. Chciano pokazać środowiskom Żydów amerykańskich, że rząd w Polsce spełnia wszystkie postulaty żydowskie. W zamian oczekiwano przychylnego spojrzenia na rząd komunistyczny w Polsce.

Rząd polski pozwolił na zarejestrowanie CKŻP. Nie miał on charakteru gminy żydowskiej. Była to całkowicie świecka organizacja, popierająca nową władzę, nowy ustrój, wydająca lojalistyczne apele oraz odezwy zawierające bardzo negatywną ocenę AK czy NSZ. Rzeczywiście za ewenement można uznać zgodę na istnienie w Polsce partii żydowskich. Ale zwróćmy uwagę, że wszystkie 11 zarejestrowanych

partii żydowskich popierało nowy ustrój. Legalizacji nie uzyskała Aguda Israel ani syjoniści-rewizjoniści, bo byli zarówno przeciwko Związkowi Radzieckiemu, jak ustrojowi powojennej Polski. Zezwolenia na działalność nie dostało też Żydowskie Stronnictwo Demokratyczne. Nie wiem, jak było w przypadku ludności ukraińskiej, białoruskiej i innych, czy ich przedstawiciele w ogóle ubiegali się o rejestrację swoich partii.

Poza tym instytucje żydowskie, których istnienie mogło sprawiać wrażenie, że rzeczywiście była to uprzywilejowana grupa, finansowane były ze środków Jointu, a więc za pieniądze z zagranicy. Według szacunków z 1947 r., 80 proc. dotacji na działalność CKZP i żydowskich kongregacji wyznaniowych pochodziło z Jointu. Towarzystwo Opieki Zdrowotnej całkowicie było finansowane przez Joint. W atmosferze pewnego przyzwolenia komuniści ani się nie obejrzel, jak im na Dolnym Śląsku wyrósł taki nowy Birobidzan¹.

Eugeniusz Mironowicz: Żydzi otrzymali pieniądze z zewnątrz na rozwój życia narodowego w Polsce. Jednak większość struktur, w których poruszała się ludność żydowska, była ukierunkowana na stworzenie odpowiednich warunków do emigracji Żydów z Polski. Fundusze te miały wspierać emigrację. Niech Pani zwróci uwagę na statystykę. Ze Związku Radzieckiego w 1946 r. przyjechało do Polski ponad 136 tys. osób pochodzenia żydowskiego, a wyjechało o 20 tys. więcej. W latach powojennych, kiedy było „tak dobrze”, systematycznie ubywało ludności żydowskiej.

Bożena Szaynok: Ale ludność ta wyjeżdżała z Polski w reakcji na to, co stało się z Żydami w czasie II wojny światowej. W 1944 r. na terenach zajętych przez Armię Czerwoną, w środowisku żydowskiej młodzieży ujawniły się oddolne dążenia do opuszczenia Polski. Ruch ten został później przejęty przez wysłanników z Palestyny. W Wilnie, kiedy skończyła się okupacja niemiecka, młodzi Żydzi uznali, że nie można żyć na cmentarzu, i zaczęli po prostu wyjeżdżać z Polski. Później decydującym czynnikiem stał się antysemityzm, a po 1948 r. możliwość emigracji do państwa żydowskiego.

Grzegorz Motyka: Mam pewne wątpliwości. Sprawa dotyczy przecież 140 tys. osób, które wyjeżdżały w sposób doskonale zorganizowany, za pośrednictwem legalnie działających organizacji, trudno zatem mówić o spontaniczności, choć na pewno były to wyjazdy dobrowolne.

Bożena Szaynok: Na początku były to działania spontaniczne, którym wysłannicy z Palestyny nadali ramy organizacyjne. Komuniści polscy nie przeszkadzali. Robiłam wywiady w Izraelu z osobami, które organizowały nielegalną emigrację Żydów z Polski. Twierdziły one, że rząd mógł je w każdej chwili zatrzymać na granicy – jednak z jakiegoś powodu tego nie czynił. Tysiące osób w sposób „tajny” przekraczało granice. Były zatrzymania, aresztowania do lipca 1946 r. W lipcu 1946 r., po pogromie kieleckim, została zawarta nieformalna umowa między rządem polskim a przedstawicielami syjonistów, na mocy której Żydzi

¹ Birobidzan – stolica Żydowskiego Okręgu Autonomicznego utworzonego decyzją Józefa Stalina w 1934 r. w Kraju Chabarowskim nad Amurem.

przez Dolny Śląsk wyjeżdżali do Czechosłowacji, a potem przenieśli się do Palestyny. Rząd nie wiedział, że wśród tych przedstawicieli znalazło się kilku wysłanników z Palestyny. Był przekonany, że to członkowie partii syjonistycznych legalnie działających w Polsce.

Powtórzę: uprzywilejowana pozycja Żydów wynikała w znacznej części z działalności samych Żydów. Rząd polski pozwalał na tę emigrację, bo istniał problem antysemityzmu, problem obrazu państwa polskiego w mediach – sprawa pogromu, mordowania Żydów, to wszystko było natychmiast rejestrowane na Zachodzie.

Grzegorz Motyka: Nie wiem, czy nie chodziło o urządzenie powojennego świata według wizji Stalina. Z punktu widzenia ZSRR korzystne było powstanie Izraela, dlatego Stalin uznał, że trzeba podjąć wszelkie działania, także wspomniane przed chwilą, by powstanie tego państwa wspierać.

Bożena Szaynok: W 1945 r. nikt nie wiedział, jak będzie wyglądała przyszłość Palestyny. To nie jest tak, że Stalin był aż tak mądrym człowiekiem, by w 1945 r. przewidzieć powstanie państwa izraelskiego w 1948 r. Dopiero w drugiej połowie 1946 r., po zamachu na hotel króla Dawida [King David Hotel w Jerozolimie] i przekazaniu przez rząd brytyjski sprawy do ONZ, Sowieci poważniej zainteresowali się tym obszarem. Do tego czasu polityka Stalina polegała tylko na obserwowaniu, czekaniu i kokietowaniu zarówno Arabów, jak i Żydów. Głosowanie Związku Radzieckiego i Polski w 1947 r. za podziałem Palestyny wywołało protesty ambasadorów krajów arabskich. Decyzja ta w świecie arabskim była całkowicie niezrozumiała. Zatem nie można mówić, że w 1945 r. Stalin wiedział już o przyszłym podziale Palestyny i wspierał emigrację żydowską.

Grzegorz Motyka: Być może fakt, że na wyjazdy, jak by nie było nielegalne, patrzono przez palce, oznaczał, iż był to element gry.

Bożena Szaynok: Zgoda, ale dopiero później, w 1947 r., kiedy już była to konsekwencja opcji zaprezentowanej przez Polskę na forum ONZ. U podstaw tego, co działo się w 1945 r., leżał spontaniczny ruch młodzieży żydowskiej – po prostu chęć wyjazdu. Potem pojawili się wysłannicy z Palestyny. Duże znaczenie miał także antysemityzm, zwłaszcza po pogromie w Kielcach. Nastąpiło również przyzwolenie władz komunistycznych na emigrację. Chciały w ten sposób przeciwdziałać negatywnemu obrazowi Polski w oczach opinii światowej, także na swój sposób rozwiązywać problem antysemityzmu w Polsce. Komuniści nie dawali sobie z tym problemem rady, dlatego wyjazdy Żydów uznali za czynnik sprzyjający.

Bogdan Musiał: Komuniści potrafili dopasować się do panującego wtedy na Zachodzie nastroju współczucia dla nielicznych ocalałych z Holokaustu i przedstawić samych siebie jako ich wybawicieli – choć w ich polityce czasu wojny sprawa ocalenia pozostałych Żydów nie była nigdy priorytetem; była nim natomiast kwestia zaprowadzenia komunizmu w krajach stanowiących ich wojenne trofeum. Dzięki takiemu manewrowi zdołali zdezawuować w oczach Zachodu opór antykomunistyczny jako przejaw niezrozumiałego, wstecznego i pozbawionego współczucia dla ocalałych z Zagłady ciemnogrodzkiego antysemityzmu. Udało

im się przeciwstawić swojej, rzekomo humanistycznej, tolerancyjnej i postępowej postawie absurdalny i „reakcyjny” opór tych z WiN czy z NSZ, którzy w tej perspektywie wyszli na absolutnie złych, których nie należy popierać pod żadnym pozorem.

Bożena Szaynok: Oczywiście, że sprawa żydowska była wykorzystywana przez komunistów, genialnie ją rozgrywali.

Bogdan Musiał: Świadomie i cynicznie nagłaśniano wystąpienia antysemitów. O pogrom w Kielcach od razu oskarżono WiN.

Bożena Szaynok: W sierpniu 1945 r., po pogromie w Krakowie, tamtejszy PPR wydał odezwę, w której w pierwszym zdaniu potępiał wydarzenia w Krakowie, a dwie kolejne strony zawierały „agitkę polityczną” przeciwko ruchom antykomunistycznym. Na tym właśnie polegało instrumentalne traktowanie ludności żydowskiej, która była postrzegana przez pryzmat tego, co można było dzięki niej uzyskać na Zachodzie lub w kraju.

Piotr Madajczyk: Fatalne było także nakłanianie działaczy żydowskich do wydawania oświadczeń ukazujących podziemie w jednoznacznym, negatywnym świetle.

Bogdan Musiał: To było przemyślane, celowe działanie. W rezultacie takiej mistyfikacji różne delegacje przyjeżdżające ze Stanów Zjednoczonych czy z Europy Zachodniej wtórowały komunistom, że w Polsce jest wspaniale, że oto rozpoczęto budowę prawdziwej demokracji, natomiast – co wynikało w sposób nieunikniony z takiego stawiania sprawy – to antykomunistyczny opór jest zagrożeniem dla owej świetlanej przyszłości. Nie powinniśmy też zapominać o roli agentury sowieckiej w wielu węzłowych ośrodkach decyzyjnych na Zachodzie. Powtórzę, dla komunistów główny cel stanowiło zdobycie władzy, a jednym z manewrów genialnie temu sprzyjających było odwrócenie od siebie uwagi jako od rzeczywistego zagrożenia dla sprawy wolności.

Grzegorz Motyka: Przechodzimy w ten sposób do trzeciego zagadnienia: polityka narodowościowa komunistów a społeczeństwo. Pan Mironowicz mówił o tym, że działacze komunistyczni na „dole” niejednokrotnie proponowali „górze” pewne radykalne rozwiązania, na które – w ich przekonaniu – istniało przyzwolenie społeczne. Stąd można wysnuć wniosek, że komuniści, chociaż w części swoich represyjnych działań, chcieli przypodobać się społeczeństwu. Mam wątpliwości, czy można na podstawie takich materiałów dokonywać uogólnień na całe społeczeństwo. Przecież w trakcie wysiedleń ludności ukraińskiej do USSR wśród żołnierzy WP było sporo przypadków, kiedy patrzono przez palce na ucieczki Ukraińców do lasu. Przeciwno wysiedleniom opowiadał się także WiN, który obawiał się, że akcja ta grozi utrwaleniem powojennej granicy wschodniej. Także w późniejszym okresie można wskazać przykłady, kiedy pewne działania władz napotykały opór społeczny. Najbardziej znany przykład to próba zmiany nazw miejscowości w Karpatach.

Eugeniusz Mironowicz: Należałoby sprawdzić, jaki odsetek społeczeństwa występował w obronie tych nazw ukraińskich lub białoruskich, a jaki był zwolennikiem tych zmian.

Wróćę do sprawy wywózek Ukraińców. W dokumentach z lat 1946–1947 można znaleźć wiele wzmianek, że jakiś przedstawiciel społeczności polskiej przechowuje Ukraińców, że ksiądz wypisuje zaświadczenie, iż dana osoba była ochrzczona w kościele rzymskokatolickim, by uchronić ją przed wywiezieniem do Związku Radzieckiego lub w ramach akcji „Wisła”. Ale wydaje się, że więcej można znaleźć pism od urzędników gminnych, powiatowych, żądających skuteczniejszego działania na rzecz repatriacji, wręcz mobilizacji społeczeństwa miejscowego do współpracy z władzami. Najbardziej jest to widoczne w przypadku postaw wobec Słowaków. MSW wysyłało do arcybiskupa krakowskiego pisma, w których żądano zwolnienia duchownych przyczyniających się do jątrzenia sytuacji, zabraniających śpiewania pieśni po słowacku w kościołach. MSW wręcz oskarżało duchownych o antagonizowanie społeczeństwa. Władze administracyjne w miejsce zwalnianych miejscowych urzędników sprowadzały pracowników z innych terenów Polski, nie obciążonych tymi uprzedzeniami wobec Słowaków, aby doprowadzić do złagodzenia konfliktów.

Z dokumentów centralnych wynika, że władze tego szczebla były zniesmaczone niektórymi działaniami miejscowych wojskowych, przedstawicieli milicji, bezpieczeństwa publicznego lub aparatu partyjnego wobec mniejszości niemieckiej, zwłaszcza w okresie zaraz po wojnie. Zachowanie ludności można zrozumieć. Przyjeżdżała ona na ziemie zamieszkałe przez Niemców z całym bagażem przykrych doświadczeń z terenów, gdzie spędziła okupację. Wszyscy Niemcy byli postrzegani jako faszyci i zbrodniarze. Podobnie można zrozumieć reakcje w stosunku do Ukraińców. Ale należy podkreślić, że władze szczebla centralnego, gdzie tak wielkich emocji nie było, wysyłały instrukcje, próbowały hamować najbardziej wynaturzone formy lokalnej polityki w stosunku do poszczególnych grup narodowościowych.

Piotr Madajczyk: Kwestia, o której teraz rozmawiamy – postawy społeczeństwa – wiąże się pośrednio z ostatnim, niezrealizowanym jeszcze punktem naszej dyskusji: przełamywania stereotypów przez historiografię. Ukazują się publikacje m.in. na temat stosunków polsko-ukraińskich lub zbiory dokumentów dotyczących relacji polsko-niemieckich i można w nich zauważyć, że badacze dostrzegają coraz więcej niuansów zachowań społeczeństwa polskiego wobec osób innej narodowości. Kreślą obraz prawdziwszy niż takie stwierdzenia jak to, że „Polacy uważali...”. Nie zmienia to faktu, że dominowało wówczas myślenie w kategoriach „swój-obcy”, a przypisanie do jednej z tych kategorii było silnie związane z narodowością. Społeczeństwo znacznie słabiej potępiało osoby dopuszczające się wszelakich wykroczeń, rabunków itd. wobec osób narodowości postrzeganej jako „obca”.

Bogdan Musiał: Wracając jeszcze na chwilę do kwestii postaw poszczególnych osób. Nie można pomijać presji politycznej i osobistej odwagi, która była konieczna, by jej się przeciwstawić. W sytuacji odgórnej nagonki (choćby na szczeblu lokalnym), w związku z akcją „Wisła”, osoba, która zdecydowała się pomagać Ukraińcowi, dużo ryzykowała. Z kolei ktoś przybierający postawę negatywną wobec ofiary tej akcji mógł zostać wynagrodzony podwójnie: zdobyć pochwałę i skorzystać na ukraińskim majątku. Podobnie (choć pamiętając o istotnych różnicach) trzeba rozpatrywać postawy Polaków wobec Żydów w czasie

II wojny. Nie można powiedzieć, że postawa większości Polaków była wobec nich negatywna. Ale też w sytuacji tak opresywnej trzeba było godzić się na wielkie ryzyko, by pomagać Żydom, gdy tymczasem okazywana spolegliwość czy wręcz podzielenie negatywnego stosunku do Żydów było „bezpieczne”, pożądane przez okupanta i nagradzane. Oczywiście to właśnie te ostatnie postawy Żydzi postrzegali jako szczególnie nielojalne wobec nich. Następnie dochodziło do krzywdzących dla Polaków uogólnień, jakoby większość z nich żywiła takie negatywne wobec Żydów uczucia (w czym widzę pewien resentyment po epoce względnie zgodnego współżycia). Wówczas zranione nielojalnością Polaków uczucia ocalałych Żydów natknęły się na propagandę komunistyczną, która zawsze była gotowa potwierdzić z całą stanowczością, że troska o uciśnionych leży na sercu każdego bolszewika, i przyłgnęły do niej.

Bożena Szaynok: W polityce nowych władz nie było niczego, co łagodziłoby napięcia. Wytworzone w czasie II wojny światowej na Kresach napięcia narodowościowe zostały, w wyniku zmiany systemu politycznego, wzmocnione. Fakt, że w niektórych lokalnych urzędach bezpieczeństwa, podobnie w milicji, 75 proc. kadry stanowili Białorusini, nie służył pojednaniu i wzmocniał antagonizm.

W 1956 r. powstała Liga do Walki z Rasizmem, której celem było przeciwdziałanie m.in. antysemityzmowi. Działały w niej osoby związane z PSL, takie jak Władysław Bartoszewski, Żydzi, na przykład Berman, pepeerowcy. Liga stała się jedynym miejscem spotkań – na normalnych warunkach – Polaków i Żydów. Bardzo szybko komuniści przekształcili Ligę w organizację mającą przyglądać się rasizmowi, ale nie w Polsce, tylko w „krajach imperialistycznych” – Amerykanom bijących Murzynów. Był więc pozytywny potencjał społeczny. Możemy jedynie gdybać, jak społeczeństwo zachowywałoby się w przypadku innej władzy.

Piotr Madajczyk: Rzeczywiście, był potencjał niewykorzystanych pozytywnych postaw społecznych. Ale w wielu dokumentach polskiego podziemia niepodległościowego wyraźnie widać odrzucenie jako części narodu polskiego wielu grup niepolskiej narodowości: Żydów, Niemców, Białorusinów. Trudno powiedzieć, jaka część tego podziemia utożsamiała się z takimi poglądami, ale wydaje się, że była to grupa znacząca.

Bożena Szaynok: Nie neguję tego, ale powtarzam, że władza komunistyczna nic nie zrobiła dla złagodzenia tych postaw.

Eugeniusz Mironowicz: Sprawa działalności Białorusinów w UB stanowi łatwy argument propagandowy na rzecz wyjątkowego skomunizowania tej zbiorowości narodowej. Należy uwzględnić fakt, że do aparatu bezpieczeństwa przyjmowano tylko osoby dobrze mówiące po polsku, które miały prezentować się jako Polacy. Białorusinów na Białostocczyźnie angażowano do struktur władzy komunistycznej tylko dlatego, że znaleziono niewielu chętnych miejscowych Polaków. Władze lokalne zapewniły jednak zwierzchników, że Białorusinów nie ma; ci, którzy uważali się za przedstawicieli tej narodowości, już wyjechali do ZSRR, a pozostali czuli się Polakami. Owe 75 proc., podane za moją książką, dotyczyło nie udziału Białorusinów w aparacie bezpieczeństwa, lecz w strukturach PPR w powiecie białostockim na początku 1945 r., gdzie na ogólną liczbę 228 członków znalazło się 175 osób narodowości białoruskiej. W stosunku do

całej populacji były to jednak promile. Poparcie dla nowych władz nie wynikało z sympatii dla komunizmu, lecz z poczucia zagrożenia ze strony podziemia, zmuszającego ludność pacyfikacjami wsi do wyjazdów na wschód.

Bożena Szaynok: Chcę być właściwie zrozumiana. Nie twierdzę, że powojenna władza w Polsce to Białorusini i Żydzi, ale wskazują tylko, co mogło wpływać na postawy polskie. Przecież sformułowanie „Żydzi równa się wprowadzenie komunizmu w Polsce” spełniało swoją socjologiczną funkcję.

Eugeniusz Mironowicz: Wszyscy wokół wiedzieli, kto jest Białorusinem, kto jest Żydem. Kazano im jednak przedstawiać siebie jako Polaków, często zmieniać imię, nazwisko – to drażniło. Mówiło się oficjalnie, że nie ma mniejszości, a wszyscy wiedzieli, że one są. Były, ale „za mgłą”. Nie wiadomo było „kto jest kim”, „ilu ich jest”, „co to za jedni”...

Piotr Madajczyk: I przyszła połowa lat pięćdziesiątych i wybuchła „burza”, pojawiły się emocje, strach.

Eugeniusz Mironowicz: Dobrze, że to zostało wspomniane. Muszę cofnąć się do 1939 r. Gdy we wrześniu do II RP weszła Armia Czerwona oficjalnie bronić Białorusinów, okazało się, po latach milczenia i mówienia o „kresowym ludzie polskim”, że taki naród istnieje, chociaż o fakcie tym oznajmiał czynnik zewnętrzny. W 1956 r., gdy po latach wpajania ludziom, że Polska stała się jednolita etnicznie, że nie ma mniejszości narodowych, władze powołały Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, nagle znów pojawił się problem białoruski. Do Komitetu Centralnego PZPR, do Rady Ministrów zaczęły wpływać donosy z kilkunastu miejscowości, podpisywane przez 100, 200 osób, z informacją, że powstał komitet białoruski, który chce oderwać część państwa polskiego i dołączyć do Białorusi Sowieckiej. Ludność polska nie mogła uwierzyć, że białoruska organizacja powstawała z przyzwolenia władzy polskiej. Polacy w związku z publicznym uznaniem istnienia Białorusinów przeżyli szok.

Bożena Szaynok: W styczniu 1953 r., po sprawie lekarzy kremlofskich, jednemu z działaczy żydowskich zarzucono, że chce oderwać od Polski Dolny Śląsk i przyłączyć do Izraela. Nie za bardzo potrafię sobie nawet to wyobrazić.

Piotr Madajczyk: Ale czy nie oceniamy tych reakcji z dzisiejszej perspektywy? Doświadczenie lat 1939–1948 polegało też na tym, że sprawy narodowościowe były ściśle związane z terytorialnymi. Zwłaszcza po 1945 r. stworzono silne sprzężenie zwrotne między sprawami narodowymi a zmianami granic Polski. Ukształtowany wówczas sposób myślenia, że istnienie lub nie jakiejś narodowości na danym terenie wpływa na jego przynależność państwową, funkcjonował także po 1948 r.

Bożena Szaynok: Widać to na przykład w dokumencie MSW z 1962 r. dotyczącym badania „nastrojów nacjonalistycznych” wśród mniejszości narodowych. Silne tendencje nacjonalistyczne miały, według autorów pisma, występować szczególnie wśród Ukraińców. Pojawiały się także spekulacje o utworzeniu z pomocą RFN państwa ukraińskiego na Pomorzu. Dokument ten pokazuje również, że MSW wyraźnie postrzegało, iż organizacje skupiające mniejszości narodowe, powstałe po 1956 r., zaczęły wymykać się spod kontroli.

Eugeniusz Mironowicz: Z kolei dokument z 1967 r. pokazuje, jak przepływały i zmieniały znaczenie informacje zbierane przez służby bezpieczeństwa. Podsluchana przez konfidenta rozmowa dwóch pijanych Ukraińców na weselu pod Olsztynem na szczeblu powiatowym została opisana już jako spisek działających w podziemiu ukraińskich „kohort”. Na szczeblu wojewódzkim były to już dywizje. W MSW sytuacja jawiła się jako realne zagrożenie dla państwowości polskiej. Przy okazji zaczęto wówczas rozważać zwiększenie kontroli nad ludnością niepolską i zaostrenie ograniczeń jej życia narodowego. Tak się jednak zazwyczaj składa, że do odpowiedniego modelu polityki dobiera się fakty i argumenty uzasadniające konieczność jego realizacji. Gdy zachodziła taka potrzeba, aparat władzy z sąsiedzkiej kłótni o miedzę był w stanie uczynić argument propagandowy o konflikcie etnicznym wywołanym szowinizmem ludności niepolskiej.

Grzegorz Motyka: Dochodzi więc do paradoksalnej sytuacji. Polacy, widząc, że Białorusini, Ukraińcy i Żydzi mają towarzystwa kulturalne, własne szkoły, wydają gazety – zaczęli traktować to jako przejaw uprzywilejowania mniejszości narodowych. Jednocześnie nie zdawali sobie sprawy, że towarzystwa te były „pasem transmisyjnym” PZPR do mniejszości, że zarówno one, jak i całe społeczności mniejszości narodowych były pod ścisłą kontrolą partii i SB.

Rozmawiamy głównie o negatywnych postawach ludności polskiej. Chciałbym jednak wspomnieć o zapomnianym trochę nurcie postaw z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dostrzegających potrzeby mniejszości narodowych. Wymienię choćby książki Jana Józefa Lipskiego i Bohdana Skaradzińskiego² lub idee ruchu „Solidarności”. Nie przypadkiem przecież w „drużynie Lecha Wałęsy” w czerwcu 1989 r. znalazł się przedstawiciel mniejszości ukraińskiej Włodzimierz Mokry. W historiografii z ostatnich lat ten wątek zanikł. Niech to będzie wyjściem do dyskusji na temat przełamывania lub utrwalania przez najnowszą historiografię uprzedzeń i stereotypów w relacjach Polacy–mniejszości narodowe.

Bożena Szaynok: Wspomniany nurt z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych należy uzupełnić o zachowania z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, będące konsekwencją polityki liberalizacji po 1956 r. Zaczęły się wtedy ukazywać w „Tygodniku Powszechnym” i „Więzi” informacje o Żydach i Izraelu, pojawia się inicjatywa wieczornicy w 19. rocznicę powstania w getcie warszawskim. Zostaje to przerwane w 1967 r. w związku z wojną sześciodniową. Przełamывanie monopolu władzy na dyskusję o mniejszościach narodowych było kontynuowane w latach siedemdziesiątych. Również wśród ludności żydowskiej pojawiły się działania alternatywne wobec aktywności oficjalnych organizacji, na przykład organizowanie przez młodzież żydowską własnych uroczystości w rocznice powstania w getcie warszawskim (zresztą rozdzźwięk między potrzebami środowisk żydowskich a choćby aktywnością działaczy żydowskich Zachariasza czy Smolara istniał już w latach pięćdziesiątych). Olbrzymim przełomem stał się oczywiście okres „Solidarności” – wyraźnie wówczas dostrzeżono istnienie mniejszości narodowych.

² Kazimierz Podlaski (Bohdan Skaradziński), *Białorusini, Litwini, Ukraińcy*, Warszawa 1984; J.J. Lipski, *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy*, Poznań 1984.

Eugeniusz Mironowicz: Mam wrażenie, że sprawy mniejszości narodowych zostały w latach siedemdziesiątych zepchnięte na margines, jeżeli pisano o nich, to raczej negatywnie, szczególnie o Ukraińcach – przywołam prace Edwarda Prusa: *Władysław Świątojurski* lub *Atamania UPA*. Było to konsekwencją przyjętej w 1976 r. przez Komitet Centralny PZPR polityki zakładającej tak zwaną „jedność moralno-polityczną narodu polskiego”. Stwierdzono wówczas, że Polska jest jednolita narodowościowo. Sprawy mniejszości narodowych natomiast były poruszane w środowiskach opozycyjnych – tylko że możliwości oddziaływania opozycji na społeczeństwo były niewielkie, by nie rzec żadne. Opozycja znajdowała się wyraźnie pod ideowym wpływem ośrodka paryskiej „Kultury” – widać to po publikacjach działaczy opozycyjnych. Poglądy Giedroycia na sprawy narodowe były jasno określone. Przełomem stały się lata 1980–1981. Po grudniu 1981 r. opozycja obok prowadzenia walki politycznej z władzami miała dużo czasu na przemyślenia także koncepcji urządzenia państwa polskiego. W publicystyce drugiego obiegu w latach osiemdziesiątych pojawiały się sprawy mniejszości narodowych. W 1981 r. także prasa reżimowa, a szczególnie „Polityka”, podejmowała problem istnienia mniejszości w Polsce. W latach późniejszych wiele miejsca te zagadnienia zajmowały w pismach katolickich: „Znaku”, „Więzi” i „Tygodniku Powszechnym”. Starano się przedstawiać rzeczywisty stan mniejszości narodowych, z reguły nie pisano tekstów uzasadniających z góry ustalone tezy. Poszukiwano prawdy o rzeczywistości. Gdy w 1981 r. w partyjnej białostockiej „Gazecie Współczesnej” ukazał się artykuł Sokrata Janowicza *Nasi Białorusini*, w którym autor stwierdził, że na Białostocczyźnie są jeszcze Białorusini, posypała się lawina listów od oburzonych czytelników. Listy publikowane przez redakcję pokazały, że ponownie był to szok dla społeczeństwa polskiego. Nie stało się właściwie nic, co uzasadniałoby takie emocje, ktoś jedynie po długich latach milczenia przypominał, że istnieje mniejszość białoruska. I to wystarczyło.

Ponieważ w latach osiemdziesiątych o mniejszościach narodowych pisali wszyscy, z drugiej strony pojawiły się próby tworzenia organizacji przez mniejszości – wprawdzie nie rejestrowano ich, ale nie było represji – rok 1989, moim zdaniem, nie stanowił nowej jakości.

Zmiana po 1989 r. polegała na tym, że zaczęto pisać niemal o każdym wydaniu z życia mniejszości narodowych. Pisano raz źle, raz dobrze (tam, gdzie zamieszkiwały te mniejszości, raczej nie najlepiej), ale to był krok do przodu. Nie udawano po prostu, że tych mniejszości nie ma. Każdy na podstawie przedstawionych faktów mógł sobie wyrobić własne zdanie. Z tego powodu emocje zaczęły opadać. Nadanie rozgłosu temu problemowi doprowadziło do zmiany jakości.

Grzegorz Motyka: Wydaje się, że wspomniane książki Prusa były – w podanym przez Pana kontekście – elementem walki z opozycją – skoro opozycja mówiła o kwestiach mniejszości narodowych, to, w mniemaniu władzy, trzeba było dać własną odpowiedź w tej materii.

Piotr Madajczyk: Ten przykład nie w pełni jednak odzwierciedla politykę narodowościową w PRL. Istniały w latach siedemdziesiątych inne motywy, dla których władze pozwoliły na mówienie o pewnych problemach narodowościowych więcej niż o innych. Być może książki Edwarda Prusa były „tematem zastępczym” za objęte zapisem cenzury wołyńskie mordy i wentylem dla antyukraińskich nastrojów.

Jestem przeciwny wytyczaniu wyraźnej granicy w 1981 r., należy dostrzec długofalowość zmian zachodzących w polityce narodowościowej. Zmiany te nie dokonywały się przecież w pustce społecznej. Od lat sześćdziesiątych w różnym stopniu wpływały one na życie poszczególnych mniejszości. Na przykład społeczność litewska zachowała zwartość. Wśród mniejszości ukraińskiej obserwować można było postępujące tendencje asymilacyjne bądź integracyjne. Bardzo istotne są również zmiany pokoleniowe. W dorosłość weszli ludzie urodzeni po 1945 r., nie pamiętający tego, co się działo w okresie II wojny światowej i bezpośrednio po niej.

Mam wrażenie, że chociaż w latach siedemdziesiątych widoczna była kontynuacja negatywnej polityki narodowościowej władz, także polityki kadrowej (pozostanie na liczących się stanowiskach osób zaangażowanych w latach sześćdziesiątych w nurt autorytarno-nacjonalistyczny, czyli moczarowskich „partyzantów”), to następowało wówczas również otwarcie w pewnych dziedzinach. Można mówić o rosnącym zainteresowaniu społeczeństwa historią Żydów w Polsce. Wraz z liberalizacją systemu i możliwościami wyjazdu nastąpiło pewne odblokowanie kontaktów polsko-niemieckich. W tym społecznym kontekście pojawiają się wśród opozycji nowe koncepcje stosunków z sąsiadującymi z Polakami narodami i państwami.

Bożena Szaynok: Ale sytuacja ludności żydowskiej jest nieco inna. Pozostałe mniejszości narodowe nie miały przecież 1967 i 1968 r.

Piotr Madajczyk: Nie zmienia to faktu, że rok 1981 był tylko jednym z etapów zmian. Na teksty takie jak wspomniany przez Eugeniusza Mironowicza artykuł na temat stosunku do Białorusinów trzeba było w odniesieniu do Niemców czekać aż do początku lat dziewięćdziesiątych. W 1990 lub 1991 r. ukazał się w „Gazecie Wyborczej” artykuł Włodzimierza Kalickiego pod tytułem *Niemcy na Śląsku są i wywołał takie same reakcje jak tekst „białoruski”*: szerokie oburzenie i protesty. Z podjęciem problematyki niemieckiej czekano zatem jeszcze kilka lat, a sam proces rozciąga się w czasie.

Grzegorz Motyka: Ale czy nie jest tak, że o ile od przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych pokazywano w historiografii, iż w Polsce mieszkają Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Niemcy i wszyscy oni nie są tacy straszni, jak dotąd przedstawiano, o tyle w tej chwili nastąpił pewien zwrot. Możemy zaobserwować tendencję do mówienia przede wszystkim o istnieniu „konfliktów pamięci”. Właściwie wszystkie wielkie dyskusje historyczne w ostatnim czasie tego właśnie dotyczyły: Jedwabne, Wołyń, wysiedlenia Niemców, pacyfikacje białoruskich wsi na Białostocczyźnie dokonane przez oddział „Burego”. Pomimo upływu wielu lat sprawy te budzą dalej emocje.

Piotr Madajczyk: Odmiennosc pamięci nie musi przecież oznaczać realnego konfliktu i podziału „mniejszość kontra większość”. Odrębność pamięci jest faktem, widać ją także w dyskusjach o Centrum przeciwko Wypędzeniom. Naturalną rzeczą jest, że odmienną pamięć tamtych wydarzeń mają Niemcy, odmienną Ślązacy, a jeszcze inną polscy mieszkańcy Polski centralnej. Prawdopodobnie podobne zróżnicowanie widoczne jest też w pamięci o wydarzeniach na Wołyniu, czy też szerzej w polsko-ukraińskich dyskusjach o pomnikach i cmentarzach.

Te różnice w pamięci będą istniały, ważne, żeby nie przekładały się na rzeczywiste konflikty. Dzięki odmienności pamięci możliwa jest merytoryczna dyskusja, której jednak niekiedy towarzyszy większe lub mniejsze napięcie.

Eugeniusz Mironowicz: Ale pozostają wśród tych społeczności pytania. Na przykład w przypadku wspomnianych pacyfikacji wsi białoruskich, dlaczego zostały bez żadnego powodu spacyfikowane. Druga rzecz, która budzi teraz największe zdumienie wśród Białorusinów: dlaczego sąd wojskowy niepodległego państwa polskiego w latach dziewięćdziesiątych uniewinnił żołnierzy, sprawców mordów na ludności cywilnej, uzasadniając wyrok tym, że działali z wyższej racji? Jakie racje wyższe przemawiały za zabijaniem dzieci, kobiet, starców? Sąd, uniewinniając zabójców, tym samym w imieniu państwa polskiego usprawiedliwił ich czyny. Obecnie większe emocje budzą nie pacyfikacje sprzed sześćdziesięciu lat, lecz współczesne oceny tych wydarzeń. Ukraińcy zastanawiają się, kiedy zacznie się merytoryczna dyskusja na temat tego, co stało się w Pawłokomie lub Piskorowicach w 1945 r. Zabijana ludność tych wsi nie była przecież winna tragedii Polaków na Wołyniu w 1943 r., a poniosła karę za zbrodnie ludzi, których nawet nie znała.

Grzegorz Motyka: A jak niemiecka historiografia patrzy na stosunek Polaków do mniejszości narodowych w czasie wojny i po wojnie? Czy w ogóle podejmuje ten temat?

Bogdan Musiał: Upraszczając, można powiedzieć, że jeżeli Niemcy w ogóle zajmują się historią Polaków w czasie wojny i po niej, to interesują się przeważnie ich stosunkiem do Żydów. Ulubionym tematem jest polski antysemityzm. Niemcy postrzegają losy Polaków w czasie wojny w perspektywie Holokaustu, a na historię powojenną patrzą z perspektywy pogromu w Kielcach oraz antysemickiej nagonki i wymuszonego eksodusu reszty polskich Żydów w 1968 r. Tematy te są najbardziej popularne wśród dziennikarzy i tak zwanych ekspertów od spraw polskich.

Można nawet odnieść wrażenie, że niektórzy niemieccy historycy postawili sobie za cel udowodnienie Polakom, jakimi to oni są antysemitami. W swoim zapale posuwają się dość daleko. Frank Golczewski z Hamburga, uważany powszechnie w Niemczech za eksperta od spraw polskich, posunął się do tego, że powołuje się na sfalszowane dokumenty, aby pokazać, jak bardzo antysemicka była Armia Krajowa. Potrafi Tomaszowi Strzemboszewi przypisać nieprawdziwe twierdzenia, aby go zdyskredytować jako antysemitę. Inny ekspert od spraw polskich w Niemczech, Bernd Martin z Fryburga, twierdzi natomiast, że w 1934 r., gdy Polska i Niemcy podpisywały pakt o nieagresji, rządowi Hitlera i Piłsudskiego przyświecał wspólny cel – mianowicie zwalczanie Żydów³. Podobne twierdzenia czy tezy nie są bynajmniej rzadkością w Niemczech. A podpierane są one podobnymi dowodami jak u Golczewskiego; w najlepszym wypadku pomija się istotne fakty lub wyrывa je z kontekstu.

³ Por. recenzję Bogdana Musiała z tomu *Die polnische Heimatarmee. Geschichte und Mythos der Armia Krajowa seit dem Zweiten Weltkrieg*, oprac. B. Chiari, J. Kochanowski, München 2003 [w:] „Dzieje Najnowsze” 2004, t. 35, s. 224–227.

Naprawdę bardzo trudno dyskutować rzeczowo z takimi tezami i dowodami. Nie dziwny się więc, że wiedza przeciętnych Niemców na temat historii Polski jest wypaczona. Jako dowód można przytoczyć opublikowany niedawno w „Rzeczpospolitej” artykuł na temat wizyt składanych przez Niemców w Skierbieszowie. Wójt miasteczka skarżył się, że kiedy wspominał o jego mieszkańcach Polakach, którzy zginęli w Oświęcimiu, goście niemieccy zareagowali zdziwieniem, bo zgodnie z ich wiedzą tam ginęli wyłącznie Żydzi.

Innym tematem bardzo często ostatnio poruszonym jest stosunek Polaków do kwestii niemieckiej, czyli do kwestii tak zwanych ziem odzyskanych, które po wojnie znalazły się w granicach PRL. Tutaj także nie jest najlepiej. Ogólnie rzecz ujmując, nie ma wśród niemieckich historyków wiedzy o tym, co się stało w Polsce, w szczególności po tak zwanym „wyzwoleniu” przez Armię Czerwoną. Na przykład konsekwentnie jest pomijana doniosła rola osoby Stalina jako siły sprawczej procesów istotnych także dla owej kwestii niemieckiej.

W publikacjach tych widoczny jest moralny nakaz, by Polacy bili się w piersi i posypywali swe głowy popiołem. Ale też trzeba niestety przyznać, że strona polska, nie zrywając radykalnie z przeszłością, nie odcinając się od komunizmu, nie przyczyniła się do tego, by – wskazując na moralną odpowiedzialność komunistów za niektóre zbrodnie – sama w ten sposób zdjąć z siebie odpowiedzialność za nie. Żeby zostać dobrze zrozumianym, sięgnę do analogii w stosunkach z Rosją. Jeśli Rosjanie nie odcinają się od komunistycznych zbrodni, których ofiarami byli Polacy, nie potępiają ich tak, jak tego oczekują Polacy (jak to się dzieje choćby ze sprawą Katynia), to Polacy nie mają powodów, by za nią nie obwiniać wszystkich Rosjan. Podobnie patrzą na to Niemcy: jeśli Polacy, wolni już przecież od lat 15, nadal nie wskazują na komunistów jako na sprawców cierpień niektórych Niemców, to ci ostatni nie mają powodów, by nie postrzegać ich jako współwinnych.

Niestety, trzeba liczyć się z tym, że jeśli także po polskiej stronie nie zostanie dokonana ciężka praca nad uporaniem się z własną spuścizną komunistycznego państwa, to droga do pojednania nie będzie prosta. Dotyczy to także stosunków z innymi narodami.

Bożena Szaynok: Efektem pracy historyków podjętej po 1989 r., a dotyczącej problematyki mniejszości narodowych, było opadnięcie lub zmniejszenie poziomu emocji towarzyszących podejmowaniu dyskusji polsko-żydowskich lub polsko-ukraińskich. Dzięki temu ten temat został „oswojony”. Dyskusja między Janem Błońskim a Władysławem Siłą-Nowickim była swego rodzaju wstępem do tego, co się działo w czasie debaty na temat Jedwabnego. Było wiele emocji, ale wszystko właściwie zostało powiedziane.

Jeśli chodzi o postrzeganie problemu mniejszości narodowych przez inne historiografie – Pan mówił o niemieckiej, ale także w amerykańskiej można powiedzieć, że było podobnie jak w Polsce do 1989 r. Myślano pewnymi stereotypami. Nie było bowiem reakcji, przeciwdziałania ze strony polskiej w kwestii tego, jaki obraz Polski i Polaków prezentowano za granicą, na przykład w podręcznikach amerykańskich, gdzie Polska przedstawiana była jako kraj katolicki, zacofany gospodarczo i oczywiście antysemicki. I coś zaczęło się zmieniać po 1989 r. Przykładem może być choćby dyskusja, jaka toczyła się po kontrowersyjnym filmie Mariana Marzyńskiego *Sztetl*. Opowiadał on o Polakach pochodzenia ży-

dowskiego odwiedzających rodzinne miasteczka pod Białymstokiem i pokazywał Polaków w zdecydowanie negatywnym świetle. Rozgorzała dyskusja, która zakończyła się w Muzeum Holokaustu, jednej z najważniejszych instytucji w Stanach Zjednoczonych, zajmujących się tym zagadnieniem. Ważne było, że istniała możliwość skonfrontowania różnych opinii, rozmowy o trudnych problemach polsko-żydowskich. Jeden z uczestników dyskusji, popierający wcześniej wizję Marzyńskiego, przyznał, że rozumiał racje jednego z Polaków spod Białegostoku, wypowiadającego się w filmie. I to samo działo się w czasie dyskusji wokół Jedwabnego. Delegacja historyków IPN z dr. hab. Pawłem Machcewiczem wyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych, także do Muzeum Holokaustu, też miała szansę pokazać cały kontekst, jaki doprowadził do wydarzeń w Jedwabnem.

Przed 1989 r., jeśli ukazywały się jakieś publikacje ukazujące Polaków jako antysemitów, na przykład posługująca się najbardziej antysemitycznymi, prostackimi stereotypami na temat Polaków francuska książka Marka Hilleli z 1987 r., to nie wywoływały one przecież żadnej oficjalnej reakcji.

Zmiana w 1989 r. dotyczyła też i polskiego społeczeństwa, i historyków za granicą. Uniwersytety amerykańskie zaczęły zapraszać Polaków do prowadzenia seminariów poświęconych problematyce polsko-żydowskiej. Istnieje już możliwość dyskusji i wyjaśniania skomplikowanych przecież stosunków Polaków i Żydów.

Bogdan Musiał: Mimo wszystko ja to widzę w ciemnych barwach. Po wojnie wytworzył się na Zachodzie negatywny obraz historii Polski podczas II wojny światowej. W globalnej pamięci o niej jest dużo miejsca dla polskich sprawców i pomocników lub pasywnych widzów w prześladowaniu Żydów przez Niemców, natomiast bardzo mało, praktycznie żadnego, dla polskich ofiar. Dyskusja o Jedwabnem wzmocniła tylko ten stereotyp. I na razie nie przypuszczam, aby się to miało zmienić. Ja to widzę w czarnych kolorach.

Piotr Madajczyk: Wielu historyków, wyjaśniając wydarzenia z przeszłości, posługuje się swoją wiedzą ogólną i utartymi stereotypami, na przykład „Polacy zawsze tacy byli”. I to ma wyjaśnić wszystko. W Niemczech wśród historyków średniego pokolenia można odnaleźć osoby, które znają problematykę stosunków Polaków z mniejszościami narodowymi. Przedstawiają ją rzetelnie, nie korzystając z prostych wyjaśnień i schematów. Są to historycy, którzy podejmowali problematykę polską i byli otwarci na współpracę z historykami polskimi. Wspólny zespół polsko-niemiecki opracował tom polskich dokumentów dotyczących wysiedlenia Niemców z Polski. Warto wspomnieć także Philippe’a Therra, który podjął próbę porównania polityki w sowieckiej strefie okupacyjnej wobec przesiedlonych Niemców oraz w Polsce wobec Polaków wysiedlonych ze Wschodu, czy Michaela Escha – z próbą porównania polskiej i niemieckiej polityki narodowościowej. Ich publikacje nie są nasycone wrogością do Polski i Polaków i stereotypowym ich postrzeganiem, aczkolwiek niekiedy i u nich widać odmienną od dominującej w Polsce perspektywę oceniania tych wydarzeń. Oczywiście to nie tylko oni kształtują historiografię niemiecką, ale sądzę, że nie można kreślić wyłącznie czarnej wizji obrazu stosunków Polaków z mniejszościami narodowymi w publikacjach niemieckich.

Bożena Szaynok: Sądzę, że otwarcie po 1989 r. niedostępnych dotąd dla historyków archiwów pozwala im na nowe spojrzenie na opisywane wydarzenia. Te zmiany w historiografii przenoszą się na inne dziedziny i wydaje mi się, że pomagają w zwalczaniu tendencji do posługiwania się tylko stereotypowymi wizerunkami Polaków. Przed 1989 r. nie dało się dyskutować z takim podejściem, bo historycy nie dysponowali odpowiednimi materiałami, które na przykład podważyłyby tezę, że pogrom kielecki był tylko prowokacją lub tylko wynikiem antysemityzmu, albo że w UB pracowali sami Żydzi. Temu ograniczeniu źródeł musiała ulec też i prof. Krystyna Kersten, pisząc w 1981 r. tekst właśnie o pogromie kieleckim. Wówczas wydawało się, że materiały na ten temat już nie istnieją. Po 1989 r. można mówić o dostarczaniu historykom nowych źródeł i nowej wiedzy, które dają argumenty w dyskusji ze stereotypowym postrzeganiem Polaków i ich stosunków z mniejszościami narodowymi.

Piotr Madajczyk: Pozostaje jednak problem środków masowego przekazu – czy one nadążają za nowymi ustaleniami historyków?

Bożena Szaynok: Sądzę, że należy optymistycznie patrzeć na ten proces. On może będzie postępował przez lata, ale będzie trwał.

Eugeniusz Mironowicz: Jestem skłonny zgodzić się z Panią, choć z zastrzeżeniem, że wciąż nie wszystkie dokumenty są udostępniane historykom. Pamiętajmy, że przed 1989 r. nie ukazałaby się żadna publikacja na temat Jedwabnego, chociaż materiały można było znaleźć w archiwach już nawet w latach osiemdziesiątych. Nie sądzę jednak, by wówczas mogły one być publicznie przedstawione.

Na podstawie wygłaszanych ostatnio na konferencjach referatów i przeczytanych publikacji, w tym również wydanych przez IPN, można jednoznacznie stwierdzić, że choć historycy nie zawsze zgadzają się co do ocen i faktów, to poszczególne wydarzenia są jednak prezentowane z kilku perspektyw. Każdy zainteresowany może zatem wybrać wersję jemu najbliższą, wypośrodkować interpretacje. Nigdy nie osiągniemy całej prawdy w opisie i ocenie jakiegoś wydarzenia, ale jest szansa, że zbliżymy się do tej prawdy. Dobrym przykładem jest wydawnictwo IPN *Akcja „Wisła”*. Zaprezentowany przez kilku autorów opis wydarzeń, z różnych perspektyw, pozwala na stworzenie możliwie pełnego, spójnego ich obrazu.

To samo można powiedzieć o przebiegu dyskusji wokół problematyki polsko-żydowskiej, na przykład pogromu kieleckiego lub Marca 1968 r. Zauważam, że niekiedy sądy padające w dyskusji są emocjonalne i formułowane z przesadną wolą obrony racji własnej wspólnoty, że racje nauki podporządkowuje się racjom narodowym, ale najistotniejsze jest, że w ogóle toczy się dyskusja. I to jest najważniejszym osiągnięciem ostatnich lat.

Bogdan Musiał: Z drugiej strony w ostatnim czasie zauważyć można zjawisko, które nazwałbym globalizacją pamięci. Daje ono w historiografii przewagę Holokaustowi, jako wydarzeniu centralnemu XX w. Kilka tygodni temu w Budapeszcie [16–18 kwietnia 2004 r.] brałem udział w konferencji, poświęconej zagładzie Żydów i innym ofiarom II wojny światowej oraz polityce niemieckiej, polityce okupacyjnej. W kularowych dyskusjach okazało się, że obecni tam hi-

storycy nie wiedzą, jakie straty ponieśli Polacy. Nie wiedzieli, że zostało zabitych około 1,5 mln rdzennych Polaków. Utożsamiają oni polskie ofiary w czasie II wojny z Holocaustem, a w Polakach widzą sprawców lub współsprawców zagłady. Jeszcze innym zjawiskiem jest kształtowanie się zupełnie nowego jakościowo obrazu wydarzeń związanych z II wojną światową pod wpływem tak zwanej politycznej poprawności. Stąd ostatnio biorą się swoiste „modne tematy”, takie jak kwestia ofiar wśród homoseksualistów, których zginęło od 5 do 15 tys. Co na tej konferencji, oczywiście, zostało poruszone.

Piotr Madajczyk: Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że dyskusje poświęcone trudnej problematyce stosunków z mniejszościami narodowymi nie odegrają pozytywnej roli. Tak było w przypadku dyskusji o Jedwabnem, gdyż niekiedy nie prowadziła ona do otwarcia na argumenty drugiej strony, a jedynie utrzymywała jej negatywny, stereotypowy wizerunek. Wzajemne uprzedzenia prowadziły do polaryzacji stanowisk. Przemiany po 1989 r., z których my, historycy, jesteśmy zadowoleni, wcale nie muszą przekładać się na mniejszą konfliktowość dyskusji o historii. Nikt dotąd nie ocenił rzeczywistego wpływu takich dyskusji na osłabianie lub utrwalanie negatywnych stereotypów. Sądzę, że dla wielu historyków (na przykład niemieckich) Jedwabne nie było interesujące jako wydarzenie historyczne. Stało się jedynie wzmocnieniem istniejącego, negatywnego stereotypu Polaków. W ocenach ówczesnych wydarzeń można też dostrzec zjawisko wartościowania ofiar, swego rodzaju licytowania, które z nich są bardziej istotne.

Globalna pamięć zbiorowa podlega w ostatnich czasach potężnym przemianom. Być może powinniśmy się obawiać marginalizacji tej części pamięci, która dotyczy Polski i Polaków. Samo krytyczne rozliczenie z naszą historią jest jednak nieuniknione, gdyż jest to warunek budowy państwa demokratycznego.

Eugeniusz Mironowicz: Trudno mówić o indywidualnych konsekwencjach prowadzonych dyskusji na temat relacji Polaków z mniejszościami narodowymi. Wydaje mi się jednak, że znacznie bardziej korzystne jest, jeśli na przykład przy omawianiu stosunków polsko-żydowskich w czasie wojny będzie się pisało w podręcznikach nie tylko o pomocy udzielanej Żydom przez Polaków, ale także o takich wydarzeniach, jakie miały miejsce w Jedwabnem. Dla zdrowia psychicznego młodych czytelników będzie to znacznie lepsze niż prezentowanie fałszywego, wyłącznie pozytywnego obrazu wzajemnych relacji Polaków i Żydów. Posługując się medycznymi porównaniami, można powiedzieć, że wyleczenie z choroby jest możliwe dopiero po postawieniu diagnozy i wskazaniu jej źródła. Nie sposób pozbyć się szowinizmu, nie wskazując jego korzeni i skutków uwolnienia spod kontroli norm etycznych. Miliony istnień ludzkich stały się właśnie ofiarami niekontrolowanych emocji narodowych.

Grzegorz Motyka: Myślę, że warto jeszcze zwrócić uwagę na problem różnicowania historii pisanej przez historyków od pamięci historycznej. Historycy z racji swojego zawodu starają się, by to, co piszą, było wyważone. Dążą do możliwie obiektywnego opisu wydarzeń. Ich sądy są poprzedzone rozważeniem różnych okoliczności zaistniałych wydarzeń. Tymczasem z pamięcią historyczną jest inaczej – zwykły człowiek nie jest zobligowany do uwzględniania całej złożoności procesu historycznego. Tę odmienność pamięci dostrzegam bardzo wyraźnie

w relacjach polsko-ukraińskich – w polskiej pamięci mówi się o krzywdach, jakich doznali Polacy, a w pamięci ukraińskiej – o cierpieniach Ukraińców. I zapewne podobnie jest w przypadku każdej innej społeczności narodowej. Wątek ten pojawił się w czasie naszej dyskusji, choćby na przykładzie wyroku sądu w sprawie pacyfikacji wsi białoruskich. To zupełnie naturalne, że Białorusini czują się rozgoryczeni tym wyrokiem. Przedstawiciele społeczności ukraińskiej niejednokrotnie naciskają, by przyspieszyć śledztwa prowadzone w sprawie mordów dokonanych na Ukraińcach. Ale trzeba podkreślić, że Polacy z równą uwagą monitorują przebieg śledztw w sprawie mordów na Wołyniu i w Galicji i podobnie wyrażają niezadowolenie z ich przebiegu.

Z pewnością nie zdołamy rozstrzygnąć tych wszystkich sporów narosłych wokół stosunków narodowościowych. Ale pozytywnym zjawiskiem, jak sądzę, jest fakt, że możemy o tych trudnych problemach otwarcie dyskutować. Bardzo Państwu dziękuję za udział w dyskusji.

PIOTR MADAJCZYK (ur. 1959) – historyk, profesor doktor habilitowany. Pracownik naukowy Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk i Collegium Civitas w Warszawie. Zajmuje się problematyką mniejszości narodowych w Polsce, a szczególnie mniejszości niemieckiej, oraz stosunkami polsko-niemieckimi w okresie powojennym i przymusowymi przesiedleniami ludności w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1945–1950. Autor książek: *Na drodze do pojednania. Wokół orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 roku* (1994), *Przyłączenie Śląska Opolskiego do Polski (1945–1948)* (1996), *Niemcy polscy 1944–1989* (2001) i kilkudziesięciu artykułów naukowych.

EUGENIUSZ MIRONOWICZ (ur. 1955) – historyk, doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu w Białymstoku. Zajmuje się historią najnowszej Europy Środkowo-Wschodniej i problemem mniejszości narodowych w Polsce w XX w. Autor i współautor książek: *Białorusini w Polsce 1944–1949* (1993), *Mniejszości narodowe w Polsce* (1998), *Historia państw świata XX wieku. Białoruś* (1999), *Polityka narodowościowa PRL* (2000), *Najnowsza historia Białorusi* (2003) i kilkudziesięciu artykułów naukowych.

GRZEGORZ MOTYKA (ur. 1967) – historyk, doktor nauk humanistycznych, adiunkt w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Kierownik Referatu Badań Naukowych Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Lublinie. Zajmuje się problemami stosunków polsko-ukraińskich i dziejami Ukraińskiej Powstańczej Armii. Autor i współautor książek: *Tak było w Bieszczadach. Walki polsko-ukraińskie 1943–1948* (1999), *Pany i rezuny. Współpraca AK-WiN i OUN-UPA 1945–1947* (1997).

BOGDAN MUSIAŁ (ur. 1960) – historyk, doktor nauk humanistycznych, zajmuje się problemami II wojny światowej, Holokaustu, komunizmu i narodowego socjalizmu. Autor książek: *Deutsche Zivilverwaltung und Judenverfolgung im*

Generalgouvernement. Eine Fallstudie zum Distrikt Lublin 1939–1944 (1999),
„Konterrevolutionäre Elemente sind zu erschießen”. Die Brutalisierung des deutsch-sowjetischen Krieges im Sommer 1941 (2000, wyd. polskie 2001),
Sowjetische Partisanen in Weissrussland. Innenansichten aus dem Gebiet Baranoviči 1941–1944 (2004).

BOŻENA SZAYNOK (ur. 1965) – historyk, doktor nauk humanistycznych, adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Zajmuje się historią najnowszą, szczególnie stosunkami polsko-żydowskimi i polsko-izraelskimi po II wojnie światowej, oraz historią Żydów w Polsce. Autorka książek: *Pogrom Żydów w Kielcach, 4 VII 1946 r.* (1992), *Ludność żydowska na Dolnym Śląsku 1945–1950* (2000).